№ 4. Warszawa, dnia 12 (24) Stycznia 1885 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

LOSY DWÓCH NIEWIAST.

SZKIC Z DZIEJÓW SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO

W WIEKU SZESNASTYM

PRZEZ

L. S. W.

(Dalszy ciąg.)

Najjaskrawsze może, chociaż najmniej chlubne stanowisko śród tej rodziny zajmuje Olbracht Łaski, który był synem wymienionego wyżej Hieronima, dziedzicem Kesmarku na Węgrzech, a głośnym już ze spraw swych i burzliwego charakteru. Najwięcej kłopotów przyczyniły Zygmuntowi Augustowi mieszanie się Łaskiego do spraw Wołoszczyzny, gdzie osadził na tronie jakiegoś Heraklidesa, a potem wojował z nim samym i jego następcami. Urodzony w roku 1533, Olbrach Łaski, wdowiec od roku 1561 po pierwszej swej małżonce Katarzynie Seredy, liczył zaledwie lat 31, gdy zaślubił zgrzybiałą już prawie Beatę. Urodzony z matki Anny z Rytwian Kościelskiej, Olbracht był dalekim krewnym Beaty. Znany z niepomiernej chciwości, żenił się głównie dla pieniędzy; toż dlatego głównie poślubił był i pierwszą swą żonę, która była także wdową, chociaż jeszcze młodą, posiadającą sto tysięcy dukatów posagu; nie z innych też pobudek zgodził się poślubić starą księżnę Ostrogską.

Nowożeńcy zamieszkali na zamku kesmarskim, w uroczej okolicy podkarpackiej, ale charakter obojga nie był skłonny do miłosnego gruchania, nie mówiąc już o różnicy wieku. Miodowe miesiące przeszły prędko, a po nich nastąpiły zajścia i niesnaski.

Łaski potrafił wyłudzić od Beaty zapis dóbr jej nieruchomych na swoją korzyść, a wkrótce, gdy tego było mu już za mało, wyłudził także od starej żony jej kapitały w gotówce, samą Beatę, jako już niepotrzebną sobie, zamknął w wieży kesmarskiego zamku!

Tak fatalnie zawiodła się samowolna i dumna niewiasta w swoich zamiarach zemsty i wpadła sama w sidła przebieglejszego od niej, nie przebierającego w środkach awanturnika.

Gdy tak niecnie oszukana małżonka jęczała w więzieniu zamkowem, marnotrawny jej mąż i pan, zasiliwszy się jej skarbami, rzucał się w wir wypadków społcesnych. Najczynniejsze to były i najpiękniejsze lata burzliwego jego życia: widzimy go biorącego udział w sprawie rozwodu króla z Katarzyną austryacką, posłującego do Wiednia, zamyślającego o nowych wyprawach na Wołoszczyznę, gromiącego dzicz turecką i tatarską, wreszcie czynnie i skutecznie pomagającego Zygmuntowi Augustowi w sprawie ostatecznej unii z Litwą na sejmie lubelskim.

Przedtem gorliwy luteranin, następnie kalwinista, wraca w końcu na łono Kościoła katolickiego, a nawet pisze dzieła polemiczne przeciwko dopiero co porzuconej przez siebie religii i bierze udział w teologicznych dysputach.

Niebawem wybuchła na Rusi Czerwonej nowa awantura, do której nieomieszkał wmieszać się Łaski, powodowany zarówno burzliwym swym charakterem, jak nowym stosunkiem do rodziny Ostrogskich, wynikłym z poślubienia Beaty. Wieść bowiem o uwięzieniu starej księżnej przez Łaskiego, rozniosła się po kraju i wywołała powszechne oburzenie przeciwko gwałtownikowi; książę Konstanty Wasil przedewszystkiem trzymał stronę uciśnionej Beaty i jej córki, a swojej synowicy, którą Łaski wyzuł z jej dziedzictwa matczynego. Ztąd nienawiść Łaskiego do księcia na Ostrogu, a właśnie nadarzyła się sposobność do wywarcia tej nienawiści. W roku 1567 umarł bezpotomnie Krzysztof Tarnowski, syn słynnego hetmana, Jana Tarnowskiego i dobra tej linii spadły na jedyną córkę hetmana Zofią, która była żoną Konstantego Wasila Ostrogskiego.

Księżna ostrogska objęła swój spadek i zajęła zamek Tarnowski, ale brat jej stryjeczny, Stanisław Tarnowski, kasztelan czechowski, roszcząc nieprawne pretensye do spadku, umyślił dokonać zbrojnego najazdu i opanować przemocą dobra

swych przodków. W Olbrachcie Łaskim, pałającym nienawiścią ku Ostrogskim, znalazł gotowego poplecznika i towarzysza; przybiegł też do nich i przyłączył się chętnie zabójca Dymitra Sanguszki, Marcin Zborowski.

Zebrali oddział zbrojny, napadli na Tarnów, zdobyli szturmem zamek i opanowali liczne posiadłości Tarnowskich, nie bez przelewu krwi i gwałtów wszelkiego rodzaju, w pierwszych dniach kwietnia 1570 roku. Księżna Zofia, dotknięta już śmiertelną chorobą, zdołała uciec z zamku i we dwa miesiące potem zakończyła życie, zapisując swe dobra mężowi, księciu Ostrogskiemu.

Nowy ten gwałt zuchwałych możnowładców wywołał wrzawę i oburzenie, ale jak to już wtedy i później zwykle w Polsce bywało, nie na długo. Bracia szlachta wykrzyczała się dowoli na „gwałtowników", nawygrażała się magnatom, depczącym prawa, urągającym majestatowi królewskiemu i łamiącym swobody szlacheckie, dopominała się banicyi i kary gardłowej na Tarnowskiego, Zborowskiego i Łaskiego, wszczynających wojnę domową, ale gdy ostygł zapał pierwszego oburzenia, gdy winowajcy użyli wpływu własnego i licznych swych przyjaciół, pokazało się jakoś, że nie byli tak winni, jak się pierwotnie zdawało...

W Polsce umiano zawsze pod tym względem godzić się z losem, uznawać fakta dokonane, rezygnować się na to, co już się stało i czego naprawić, ani wrócić niepodobna... Sąd sejmowy spełznął na niczem, bo i sam król Zygmunt August, już wtedy u kresu życia, schorzały i oddany rozkoszom, utracił resztę energii, której nadmiarem nie celował nigdy, a nadto widocznie sam sprzyjał Łaskiemu i jego przyjaciołom. Upadła więc sprawa gardłowa, zwłaszcza, że w owej wojence zginęło tylko nieco motłochu chłopskiego i mieszczańskiego, o który długo i wielkiej wrzawy robić nie było warto. Pozostał tylko spór cywilny o spadek po Tarnowskich.

Strony wybrały samego króla na rozjemcę i ten przysądził dobra Ostrogskim. Kasztelan czechowski przegrał więc sprawę.

Niektórzy historycy przypuszczają, że ruszyły go wstyd i sumienie, że tak wrogo wystąpił przeciwko największemu z magnatów, litewsko-ruskich, który po dopiero co dokonanej ostatecznej unii Litwy z Koroną, mógł rachować na inne przyjęcie śród grona panów koronnych. Prawdopodobniej jednak Stanisław Tarnowski i jego wspólnicy byli radzi, że uniknęli kary gardłowej za gwałt publiczny, a bez trudności mógł kasztelan zrzec się dziedzictwa, do którego praw nie miał, gdyż według wszelkich praw, córka ma pierwszeństwo przed synowcem, siostra przed bratem stryjecznym.

Olbrach Łaski nietylko, że wyszedł cało i nie utracił względów królewskich, ale je nawet pomnożył i nadal zapewnić usiłował, uciekłszy się do środka zręcznego, ale niemile rażącego nasze poczucie sprawiedliwości: oto zapisał urzędownie wszystkie dobra Beaty, sobie darowane, nie komu innemu, jeno samemu królowi Zygmuntowi Augustowi.

Upływały lata i nie zmieniło się nic w położeniu Beaty. Łaski uwijał się po świecie, błyszcząc i szafując pieniędzmi żony. W bezkrólewiu po Zygmuncie Auguście, wojewoda odegrał ważną i czynną rolę, a że równie był chciwym, jak marnotrawnym, sprzedawał głos swój i poparcie kolejno, to Ernestowi austryackiemu, to Henrykowi Walezemu, spółubiegającym się o koronę Jagiellonów. Od posłów austryackich Łaski dostał sto tysięcy dukatów, ale gdy Francuzi dali mu więcej przerzucił się stanowczo na stronę Henryka, poparł jego elekcyą i wyruszył w gronie innych posłów polskich do Paryża po nowego króla. Osobliwszą jest rzeczą, że taki despotyczny awanturnik, z tylu już sprawek znany, używał wielkiej powagi w Polsce, a przez posłów cudzoziemskich uważany był za najznakomitszego i najbardziej wpływowego z panów polskich, jak opiewa list posła cesarskiego. Co więcej, imię Olbrachta Łaskiego wymieniano nawet śród innych nazwisk zasłużonych mężów, których uważano za godnych korony, podawano go, jako kandydata do tronu! Wszelako wówczas jeszcze kandydaturę Piasta (krajowca), mało kto brał na seryo, tak, że gdy Łęczycanie z całą powagą zalecali do tronu niejakiego Bandurę Słupskiego, swego ziemianina, wywołali tem śmiech powszechny w kole elekcyjnem; według historyków, zabawna ta kandydatura, uznana snać za żart czy za ironią, ośmieszyła ostatecznie wszystkich „Piastów" i na wniosek Zamojskiego, wykreślono ich wszystkich z listy kandydatów.

Niemniej osobliwą jest rzeczą, że mało sympatyczny dla nas małżonek Beaty, był uwielbiany przez Francuzów, podziwiających jego wspaniałą postawę, układność, uczoność i hojność. Miał także powodzenie nawet u płci pięknej: Francuzki rozchwytywały jego portrety, a niejaka Sabina de Scheve czy de Sueux, młodziutka panienka, zgodziła się oddać Łaskiemu swoją rękę i posag! Wojewoda bowiem udawał w Paryżu bezżennego, a ufny w łaski króla Henryka, niewiele dbał o to, że jawne dwużeństwo wykryje się niebawem, za powrotem do Polski. Został więc dwużeńcem, podobnie, jak jego pasierbica miała niegdyś naraz dwóch mężów.

Tymczasem nieprzyjaciele Łaskiego, a stronnicy Beaty, przedewszystkiem zaś ks. Ostrogski, skorzystali z nieobecności wojewody i z nieprzychylnego dlań usposobienia cesarza Maksymiliana, rozgniewanego za zdradę, której dopuścił się Łaski względem partyi rakuskiej. Ostrogski pisał niejednokrotnie do cesarza, upraszając go o zajęcie się losem Beaty i o jej uwolnienie z więzienia, co Maksymilian mógł uczynić, gdyż księżna uwięziona była w jego państwie węgierskiem. Cesarz polecił też istotnie staroście górnych Węgier, Rueberowi, aby wspólnie z Rauternem, starostą kesmarskim, zjechał niespodzianie do zamku kesmarskiego, dla przekonania się naocznie o losie i położeniu księżnej Beaty i złożeniu raportu. Starostowie spełnili rozkaz cesarski: udali się w sierpniu 1573 roku do zamku, kazali sobie otworzyć więzienie Beaty i przesłali raport cesarzowi, w którym pełno było ciekawych i wzruszających szczegółów. Ośm już lat siedziała Beata w zamknięciu i przez ten czas nie widziała nikogo z ludzi, oprócz trzech swoich służebnic. Na widok więc gości niespodziewanych a przyjaznych, z radości wielkiej aż zemdlała i długo nie była w stanie przemówić słowa.

Ubrana była nędznie, a służące jej były w takich łachmanach, że zaledwie miały czem przykryć nagość. Zdołała jednak Beata ukryć przed chciwością Łaskiego nieco kosztownych bardzo klejnotów i te chciała oddać swym gościom, czy to dla przechowania, czy też w upominku, ażeby ich sobie zjednać, lecz wysłańcy cesarscy odmówili przyjęcia. Rozmawiała z nimi po łacinie, gdyż władała dobrze tym językiem, a pisała nawet lepiej jak mówiła. Błagała ze łzami w oczach o wolność, a gdy starostowie polecili jej, aby napisała do cesarza skargę na Łaskiego, uczyniła to niebawem, używając sadzy zamiast atramentu, którego nie miała.

Ostrogski kilkakrotnie posyłał do cesarza, a przyjaciel jego i Beaty, Mielecki, wojewoda podolski, starał się również o uwolnienie uwięzionej, traktując o to z wysłańcem cesarskim w Polsce, Andrzejem Dudyczem, biskupem pięciokościelskim. Dudycz już dawniej, na początku uwięzienia Beaty, pisał był o tem do cesarza i doradzał ciągle przedsięwzięcie środków w celu jej oswobodzenia; rady swe ponawiał i teraz w listach do Maksymiliana.

Do tych starań przyjaciół i krewnych, przyłączyły się starania córki. Kraj posłyszał znowu o Halszce z Ostroga, która wtedy właśnie, w czasie bezkrólewia 1573 roku owdowiała powtórnie przez zgon Łukasza z Górki.

Liczyła już wtedy lat 35, ale rozgłos smutnych jej dziejów, bogaty posag i świetne pochodzenie, czyniły ją jeszcze interesującą i pożądaną partyą; wnet więc ponownie zaczęli pojawiać się konkurenci, a z tych Jan Ostroróg, kasztelan stężycki, największą powziął nadzieję otrzymania ręki najgłośniejszej tej niewiasty owych czasów. Halszka zamieszkała tymczasowo u brata mężowskiego, Stanisława z Górki w Poznaniu, ale wkrótce przybył po nią jej brat stryjeczny, Janusz Ostrogski, przysłany przez swego ojca, księcia Konstantego Wasila, który chciał córkę swego brata mieć u siebie.

Wróciła więc Halszka po długich latach do posiadłości przodków i ojca, którego wcale nie znała i osiadła na zamku dubieńskim. Czując się, jako wdowa, swobodniejszą, a właściwie dopiero po raz pierwszy w życiu uczuwszy się niezależną i panią swej woli, zaczęła myśléć o oswobodzeniu matki i odzyskaniu swego dziedzictwa, które Łaski wyłudził od żony i trwonił.

(*Dokończenie nastąpi.*)

PERI. (*)

ARABESKA.

I.

Pogodne niebo błękitem barwi okna Alkassaru, weszłe słonko, łamiąc promienie, tęczowo krasi naturę. W dali ciemno, sina smuga okala widokrąg, w niej ginie las, tam morze.

Przed oknami zamku wspaniały ogród, w cieniu krzewów połyska staw, jak kryształ — zbudzony łabędź radośnie trzepocze skrzydłami, jakby witał kogoś, a w środku z ponad krzewów strzela w górę źródło i tysiącem prądów wabi wodne perły.

U brzegu na murawie, jak śnieg białe szaty z jedwabiu i kaszmiru. W fałdach dyadem, skrzący brylantami, spięcia i naszyjniki leżą rozrzucone.

To ubiór księżnej... a ona?...

W obręczach wody, kąpie się słonko a rozkoszna fala o brzeg uderza. Na wonnych szatach

(*) Peri — najpiękniejsza dziewica z możnego rodu, wybranka kapłanów ku chlubie i czci Proroka.

złota siedzi muszka — swobodna, czasem w koło oblata, to znów figlarnie w szat kącie się skryje.

Czy jej nikt nie zazdrości?...

. . . .

Za kotarą w oknie Alkassaru serce tłumi westchnienie młodego Janusza...

II.

W zamku Ab-Zadel-Emir Saracen, pan rządca Sycylii, siedzi w rannym stroju.

W około pląsy, muzyka — uprzyjemniają pierwszy posiłek. Obok wiernicy, Omor i Garaga, żywo toczą rozmowę.

O czem tak radzą — szepczą? — snać ważne to muszą być rzeczy.

Emir się ruszył — gwar cichnie; ostatni akord echem odbija piękną melodyę muzyki.

Milczenie...

Garaga i Omar w setkę pachołków pójdą do hana Cyronii, pięć wozów złota, pięćset nowych strojów i tyleż rumaków, wezmą dla jego rzezańców. On w zamian, ptaszę małe złoto-pióre da wam dla Zizy, pani, córki mojej, przyszłej syna jego małżonki — brzmiał rozkaz rządcy Emira.

Emir nad życie kocha piękną Zizę.

III.

W zamkowej komnacie, księżna leży na otomance. Szal w nieładzie fałdami spływa i zawisa na ustach młodego rzezańca.

W około dziewice krzątają się chyżo, zajęte układaniem, jak heban czarnych warkoczy księżnej. Przemyślna ara siadłszy na trzewiku, przymila się pani — czasem bliżej podleci i schlebnem słówkiem zagada.

Księżna urocza, młoda — szczęśliwa Peri, wybranka świątyni Proroka.

Czarne oko płonie ogniem niewymownem słodyczy.

Korale ustek nęcą — nęcą... nawet Mahomet rzuciłby całą wieczność, dla jednej chwilki spędzonej przy cudnej Peri. O, bo prawo uczucia to siła bez granic.

I któżby nie zaparł się siebie — wszystkiego — gdyby jej jedno skinienie...

Ziza nie widzi nic, choć patrzy — Ziza myśli — i cóżby myśléć mogła w tej chwili? — nie wiem!

IV.

Z świtą nadworną, wchodzi Ab-Zadel, witając córkę skinieniem.

Zazdrosna ara, gdy się Emir zbliżył dziobem wciąż klekotała.

Patrzał zadowolony Emir, rad, że mu ptaszę nawet, zazdrości szczęścia.

Siadł i w te ozwał się słowa:

— Zizo! jutro o świcie wyjedziem z dworem, a przed zachodem staniem w Palermo, tam przybędą posłowie nasi a z nimi młody książę Cyronu.

Letni pałac z kryształu wznieść kazałem dla ciebie, droga córko moja—całe miasto czeka przybycia naszego.

Uśmiech przelotny zaigrał na cudnej twarzyczce Zizy, jednak nic nie wyrzekła.

Dziewy w tej chwili klasnęły w dłonie — muzyka zabrzmiała i już para za parą ochoczo pomyka...

V.

Świt. — Służba się krząta, ładuje wozy — zwija namioty — wdziewa nowe szaty. Konie rzędem ustawione — już wszystko gotowe.

W zamku gwar, zamieszanie. Ałłah! Ałłah! — wszyscy tracą głowy.

— Ziza! Ziza! gdzie ona? — Zrozpaczony Emir biega — wyje, jak szalony.

Wpadają wiernicy, Omor i Garaga.

— Łotry! gdzie Peri, córka moja!? — woła groźnie Emir.

— Miłościwy panie, poseł króla polskiego znikł również tej nocy.

— A! a! to... to... ten ptaszek!...

Emir chrypnie i mdleje.

J. H. Rychter.

CYGANIĄTKO

POWIEŚĆ

PRZEZ

MICHAŁA WOŁOWSKIEGO.

(Dokończenie.)

Gwar jarmarczny małego miasteczka dochodzi zenitu; wszędzie krzyk i wrzawa, a najgłośniej odzywają się w karczmie Szmula, gdzie zazwyczaj zatrzymują się panowie szlachta.

W alkowie, przerobionej na prędce w salon, idzie gra gruba, w której rej wodzi Gustaw.

Na jarmarku nie brak i Alfreda, który przyjechał za interesami gospodarskiemi, nie brak nawet i hrabiego Zdzisława, który po raz pierwszy w tym dniu postanowił szczęścia spróbować.

— Tysiąc rubli na waleta — wołał Gustaw.

— Trzymam — odpowiedział ktoś z partnerów.

Gustaw kartę pociągnął, wygrał.

— Paroli! — ozwał się grający.

— Quitte ou double!

Karta znów poszła, Gustaw znów wygrał, wśród zgromadzenia zapanowała cisza.

Nikt już poniterować nie śmiał, Gustaw zabierał pieniądze i gra się miała już skończyć, gdy we drzwiach ukazał się hrabia Zdzisław.

— Cóż to, gra się już kończy, chciałbym z tobą spróbować się, Gustawie.

— Z ochotą — była odpowiedź.

I od tej chwili, ani jedna karta nie przyniosła szczęścia Gustawowi. Usta i ręce mu drżały, gdy wszystkie pieniądze zgarniał do kieszeni Zdzisław. Zabrakło w końcu ich na stole, zabrakło w kieszeni bankiera.

— Grasz na słowo — spytał niespokojnie Gustaw Zdzisława.

— Jakkolwiek jest to wbrew mojemu zwyczajowi, dla ciebie jednak to ustępstwo zrobię. Ciągnij.

Gustaw jeszcze więcej zdenerwowany ciągnął dalej.

Karta się jednak uparła i ani na chwilę odwrócić się ku niemu nie chciała.

— Tysiąc! dwa! dziesięć! — wszystko to grzmiało w powietrzu, aż do chwili w której na damę kier przegrał Gustaw 200,000 rubli.

Było to więcej, aniżeli wynosiła wartość Mielnowa.

Z lekceważeniem spoglądali wszyscy na Gustawa, bo każdy wiedział, że sumy takiej zapłacić nie jest w stanie, a jednakże powtarzał ciągle:

— Quitte ou double!

— Non, pour le coup, c'eu est trop! — odparł z ironicznym uśmiechem Gustaw.

— W zamian za tę wysoką stawkę przyjmuję tylko jedną.

— Mów, mów natychmiast — zawołał porywczo Gustaw.

— Twoją żonę! — wycedził wolno przez zęby, ale dobitnie Zdzisław.

Gustaw skamieniał, przed oczyma jego przesunął się teraz cały szereg rozmaitych okoliczności, które mu się wydawały nic nie znaczącemi dotąd, a teraz przekonały, w jak smutnem znajdował się położeniu.

Co byłby uczynił w odpowiedzi na taką obelgę, trudno orzec, ale uprzedziła go jakaś inna ręka w zapłacie za ten moralny policzek.

Ręka ta należała do Alfreda.

Cały czas był on niemym świadkiem gry i zachowania się graczy. Gdy usłyszał z ust Zdzisława wydobywający się frazes ostatni, schwycił talię kart, leżącą na stole i rzucił nią w twarz mówiącemu.

Obraza była wielką, wedle przyjętych reguł honoru trzeba ją było we krwi oczyścić.

Blady i drżący zerwał się z krzesła Zdzisław, chciał się rzucić na Alfreda, powstrzymano go jednak.

— Pan rozumiesz — syknął przez zęby — że od tej chwili dwóch nas za wiele na świecie.

— Wiedziałem o tem, gdym pod wpływem podłości pańskiej zamanifestował oburzenie moje czynem.

Tymczasem Gustaw, jak skamieniały siedząc przez cały czas trwania tej sceny, zerwał się z siedzenia.

— To do mnie należy, ja się z nim wpierw rozprawię. Ja mu w łeb, jak psu palnę!

— Tylko musisz mu zapłacić wpierw 200,000 rubli, któreś winien — szepnął ktoś z obecnych.

Gustaw zatoczył błędnem okiem dokoła, zrozumiał położenie bez wyjścia, on się strzelać nie mógł. Czuł, że się stacza w przepaść, że go nic od ruiny tym razem wstrzymać nie może.

Niedaleką była droga od miasteczka do Rumszanki. Bez czapki, jak szalony, pędem prawie ją przebiegł i wpadł do pokoju, w którym na otomance niedbale ułożona, zajęta jakimś francuzkim romansem, spoczywała Julia.

Długo stał na miejscu przed nią Gustaw, zanim zdobyć się był w stanie na słowa.

— Julio! bóstwo moje — wykrztusił nareszcie jęcząc — ten gad, ta żmija, którą karmiłem przy własnych piersiach, czy rozumiesz, ukąsiła mię tak straszliwie, tak niebezpiecznie, że jej nawet zdusić nie mogę.

— Co? — spytała chłodno Julia, podnosząc się na łokciu — mów wyraźnie, nic nie rozumiem.

— Jestem zrujnowany, sprzedać musimy natychmiast wszystko, wziąć się do innego życia, do pracy, odzyskać czas stracony, ratować dobre imię...

Suchy śmiech był odpowiedzią na ten słów potok, Julia brwi namarszczyła i rzekła:

— Wątpię, ażebyś przypuszczał, żem zdolną jest do pracy.

— Ale ty nic nie wiesz. On, Zdzisław, nasz przyjaciel, ośmielił mi się zaproponować postawienie ciebie na kartę w zamian za 200,000 rubli, które do niego przegrałem. Ty nic na to, ty milczysz, twarz twoja nie płonie rumieńcem wstydu i oburzenia, więc ty go może ko...

Julia zerwała się z otomanki, na czole jej zarysowała się fałda gniewu i niecierpliwości, i rzekła:

— Nudzisz mię, a zresztą gdyby tak było, to nie możesz mieć do mnie żadnej pretensyi.

— Ależ, ja chyba się mylę, źle słyszę, więc mam zrozumieć, że słowa moje wyrzeczone na wiatr, mają w sobie prawdopodobieństwo.

— Uważaj, jak ci się to podoba. Nie kocham cię, nudzisz mię.

Gustaw na słowa te drgnął, spojrzał dziwnie obłąkanym wzrokiem na Julię i nie mówiąc już ani słowa, automatycznie pokój opuścił.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Julia zerwała się z otomanki i wybiegła przed ganek, w którym stał posłaniec z listem w ręku, do niej adresowanym.

Schwyciła list gwałtownie, rozpieczętowała szybko i te w nim znalazła słowa:

„Za dwie godziny strzelam się. Dłuższy pobyt w tej okolicy jest dla mnie niemożliwym. Za godzin sześć odchodzi pociąg, którym prosto można jechać do Paryża. Czekam cię na stacyi, jeżeli żyć będę. Przybywaj.

Zdzisław."

Niedługo potrzebowała się oryentować w sytuacyi pani Julia. Przygotowanie się jej do drogi trwało zaledwie kwadransów parę, nie pytała o nic nikogo, na jej rozkazy tak zawsze, jak i dziś, stał zaprzęgnięty wolant, wskoczyła do niego i wkrótce zniknęła w stronie, gdzie się znajdowała stacya kolei żelaznej.

Tymczasem w poblizkim lasku, rozgrywała się smutna, a zwyczajna i tuzinkowa komedya pojedynku, mającego zmyć obrazę honoru. Sekundanci Zdzisława, zażądali natychmiastowego załatwienia sprawy, Alfred odmówić nie mógł i oto pierś swą zwrócił do przeciwnika, aby przyjąć kulę w obronie brata.

Warunki pojedynku możliwie zaostrzone, nie pozwalały nawet przypuszczać, aby rzecz skończyła się pomyślnie.

Zagrzmiała komenda sekundanta w powietrzu, Alfred podszedł do mety, chciał wytrzymać pierwszy strzał przeciwnika.

Wytrzymał, ale na pociągnięcie cyngla u swego pistoleta już zdobyć się nie mógł. Zdzisław i dobrze mierzył i dobrze strzelał. Kula z jego pistoletu utkwiła pod obojczykiem prawym w ramieniu Alfreda. Rękę opuścił i upadł. Lekarz podbiegł opatrzyć ranę, Zdzisław uchylając kapelusza wycedził:

— Au revoir — siadł do wynajętego, oczekującego go powozu i odjechał.

Alfreda złożono na bryczkę i powieziono do Mielnowa.

Wszyscy obawiali się rozpaczy Cyganiątka.

Rana była groźną, niebezpieczeństwo wielkie, chwilę jednak tylko trwało przerażenie Maryni.

Alfred był przytomnym, otworzył oczy i ściskając poczciwe swoje Cyganiątko za rękę szepnął:

— Słuchaj, byłaś zawsze dzielną kobietą i ten cios znieść potrafisz, tu więcej w grę wchodzi jak moje życie. Honor mojego nazwiska! Jedź natychmiast do Rumszanki i zobacz co się tam dzieje, ratuj jego, ratuj ją. Wszystkiemi siłami, tak jakby tu chodziło o mnie samego, proszę cię o to, zaklinam, na miłość naszą! Jeżeli potrzeba, po raz pierwszy w życiu .. każę!

Maciej, Ziemba, Wańdzia, wszystko to razem otoczyło łóżko rannego. Maryni miała go przy kim zostawić. Ucałowała więc rękę męża, wskoczyła na okulbaczonego konia i z całej siły popędzając go szpicrutą, pocwałowała do Rumszanki.

W Rumszance było pusto i głucho. Przebiegła szybko wszystkie pokoje, dobiegła wreszcie do kancelaryi, w której zazwyczaj przebywał Gustaw. Schwyciła za klamkę, aby drzwi otworzyć i znalazła je od wnętrza zamknięte.

Jednej chwili przeczuła dramat, nie czekała ani sekundy, z jej rozkazu silna dłoń pierwszego napotkanego człowieka drzwi wysadziła.

Jakżeż straszny przedstawił jej się widok!

W kącie pokoju wisiał na sznurku Gustaw. Na stoliku leżała ćwiartka papieru, na której samobójca wypisał następujące słowa:

„Żyłem jak łotr, umieram nie lepiej, nie umiałem w życiu odnaleźć tego, co inni znajdowali. Zapomniałem, że najwyższym rozumem — cnota, najwyższem szczęściem — charakter, całe życie grzeszyłem tylko. Gdybym mógł był w niem spotkać moje Cyganiątko! Alfredzie przebacz! Ona mię już nie kocha, żyć dalej nie umiem."

— Gdzie pani?—nagle zawołała Marynia, zwracając się do stojących naokoło ludzi, którzy zajmowali się nadaremnie ratowaniem już prawie sztywnego Gustawa.

— Kiedy pan tylko przyszedł, wyjechała natychmiast — była odpowiedź jednego z obecnych.

— Konia!—zawołało gwałtownie Cyganiątko.— Jej miejsce tutaj, ona być musi tutaj.

— Gdzie pojechała? W którą stronę?

Służący wskazał kierunek drogi Julii.

Przed śmiercią widocznie inny miał zamiar Gustaw co do sposobu odebrania sobie życia, zanim zdecydował się zacisnąć sobie pętle na gardło. Na stole leżał nabity rewolwer i porozrzucane kule.

Marynia gwałtownie schwyciła broń nabitą i chowając ją do kieszeni sukni, znów pocwałowała konno w skazanym sobie kierunku.

Pędziła szybko! widocznie spieszyło się jej bardzo. Po drodze wypytując się tylko jadących o wolant z Rumszanki i jadącą w nim panię.

Tak przyjechała aż do kolejowej stacyi. Za minut kilkanaście miał przybyć pociąg. Przed dworcem kolejowym ujrzała nareszcie poszukiwany wolant a w tłumie cisnących się ludzi do kasy — poznała Zdzisława.

W salonie klasy II nie było Julii, ale Cyganiątko nie myślało jej szukać, jej wystarczyła obecność Zdzisława, dla niej on był gwarancyą pomyślnego rezultatu misyi. Nastawiła uszy i do nich dobiegło żądanie Zdzisława.

— Dwa bilety klasy pierwszej do granicy—zawołał do kasyera.

— Aha! więc dwa! rozumiem — szepnęła Marynia!

Zdzisław nie spostrzegł jej przybycia i skierował swe kroki z biletami do pokoju przeznaczonego dla dam, który widocznie u zawiadowcy zarezerwował tylko dla siebie. Marynia poszła za nim.

Zdzisław już chciał za sobą drzwi zamknąć, gdy ona silną swą rączką powtrzymała klamkę, energicznie wołając.

— Za pozwoleniem! i ja tutaj wejdę! Chcę i mam do tego prawo. Nie przypuszczam abyś pan chciał mnie, kobiecie się opierać.

Zdzisław opierać się nie mógł. Marynia do pokoju weszła, w którym odpoczywała na kanapie Julia.

— Jestem — zawołała z impetem.

Julia się zerwała oburzona.

— Co? znów kontrola?

— Tak znów, pamiętasz, powiedziałam ci kiedyś, że jeżeli poważyłabyś narazić na hańbę nazwisko, które ja noszę także, to nie dopuszczę do tego, to ci przeszkodzę nawet kosztem mego własnego życia. Oto mnie masz, jestem. Wrócisz natychmiast do domu, wrócić musisz!...

— Rozkazy??!!

— Tak! nieinaczej.

— A jeżeli rozkazu nie usłucham?

— To zabije jak psa, ciebie i twego ah, nie chcę mi przez usta przejść ten wyraz... Ty mnie znasz, co postanawiam dochowywam zwykle. Patrz! oto rewolwer, nie zawacham się ani na chwilę, gdy ma być skandal, niech już będzie tak głośnym, żeby o nim gadali wszyscy. W jawności wyjdą powody, zostanę zbrodniarzem, prawo potępi, ale świat przynajmniej widzieć będzie, żem broniła naszego honoru do ostatnich granic. Ten pan dziś ranił mi, może zabił męża, ale ja mam także dobrą rękę, ja także strzelam i mścicielem być umiem. No! dalej, zabieraj się ze mną, pojedziemy nazad. Czeka cię tam pokuta, naprawa błędów. Panu nie mam nic do powiedzenia. Tam, w domu czeka na nią... trup jej męża.

— Gustaw nie żyje! — zawołała z przerażeniem Julia.

— Powiesił się, to twoje dzieło. Oto patrz, co napisał przed śmiercią.

Tu Cyganiątko rzuciło przed oczy Julii zapisaną ćwiartkę papieru.

— Co mam czynić? — zawołała, zwracając się w stronę, gdzie stał Zdzisław, Julia, ale Zdzisława w pokoju już nie było.

W pięć minut, tąż samą drogą wracała z Cyganiątkiem do Rumszanki Julia.

* * *

Mógłbym wam tutaj w zakończeniu opowiedzieć jeszcze jak wyzdrowiał Alfred, jak poumierali pan Stanisław, matka Alfreda i Maciej, jak szczęśliwym był Ziemba w małżeństwie z Wandą, i jak Cyganiątko pracowało nad odrodzeniem i poprawieniem Julii, ależ mniemam, że każdy z czytelników moich od razu się domyśleć mógł po charakterze głównej bohaterki powieści, że tak być musiało, — tak być powinno.

Co mi więc po tem dokończeniu powieściowem.

Powieść już skończona, jak dalej się ona rozwinie w życiu nie wiem, to wiem tylko, że kobieta uczciwa, zacna i energiczna, do jakich moje Cyganiątko zaliczyć muszę, z każdego położenia wybrnąć potrafi i stworzyć sobie i drugim prawdziwe szczęście.

Ty zaś typie mój jedyny, z którego życia zaczerpnąłem to opowiadanie, przyjm tę pracę, jako

wyraz czci dla polskiej kobiety, z rozumem i sercem, której wcieleniem jesteś.

Gdy takich Cyganiątek więcej będzie i raj zapanuje na ziemi...

Warszawa, dnia 1 lipca 1884 roku.

NADZIEJA.

Nad młodością starzec płacze
I woła z łzawem obliczem:
„Już lat młodych nie zobaczę,
Wszystko znikło, a jam niczem.

Wśród dziwnych losu skojarzeń,
Sny rozkoszne przeszły z chwilką,
Przeleciało roje marzeń,
I grób jeden został tylko!”

„Starcze, ofiaruj swe łezki,”
Głos mu odpowie sumienia,
„Bogu, a Ojciec niebieski,
W nadzieję zmieni cierpienia.

Bo gdy nam wszystko ucieka,
Na krańcach życia kolei,
Pan zostawia dla człowieka
Po za grobem — blask nadziei.”

Ludwik Niemojowski.

STUDYA LITERACKIE.

SŁOWACY.

SKREŚLIŁ

WIKTOR CZAJEWSKI.

I.

Słowacy. — Krótki rys ich historyi. — Polska i jej tu panowanie. — Węgry. — Jedenaście lat politycznego życia. — Charakter Słowaka. — Dalsze jego usiłowania. — Trenczyn. — Początki literatury słowackiej. — Niektórzy pisarze XVI wieku. — Charakter tej poezyi. — Poezya słoweńska z końca XVIII wieku. — Holly. — Pałkowicz. — Nowi poeci: Vajanski, Kutlik. — Historyczna powieść Kubani. — Inni poeci.

Słowacy rozsiedleni wzdłuż Karpat, aż do Morawii południowej, jak również rozrzuceni po północnej stronie Węgier, są to po większej części ubodzy wieśniacy, górnicy i robotnicy leśni, zamieszkujący górzyste i nie dosyć urodzajne okolice, a niemogąc się wyżywić na swojej glebie, rozchodzą się po Polsce i innych sąsiednich krajach jako druciarze, lub koszykarze, szukając zarobku.

Słowak jest potulnym, cichym, skromnym, kocha rodzinną ziemię a dziejów jej nie pamięta wcale, bo ich nie miał prawie nigdy.

Kiedyś Słowacy należeli do owego ogromnego państwa Samona, z którego rozchwianiem się przeszli pod panowanie ziem ościennych. W szczególności rozciągali tu swoją władzę książęta morawscy: Pryb[illegible]a, Nitrański, Kolec, w końcu Świętopełk. Wkrótce potem w IX wieku rozpoczęły się napady Madziarów na państwo Samona, które w początkach X w., w 907 roku, zostało pokonanem, a Słowacy przeszli pod panowanie nowych przybyszów do Europy.

Niedługo jednak ziemia ta pozostawała pod władzą najeźdźców. W połowie X stulecia, zdobył ją król czeski Bolesław i w 1073 roku oddał pod władzę arcybiskupstwa prazkiego.

W 999 roku część Chorwacyi i Słoweńska zawojował Bolesław Chrobry, ale po śmierci jego, król węgierski Stefan, natychmiast ją odbił od niedołężnego następcy Mieczysława, i ziemia ta w zupełności przeszła pod panowanie węgierskie. To też dalsze dzieje Słowaków są ściśle z niemi połączone, i raz tylko, po upadku dynastyi Arpadów, zabłysło w całej pełni życie polityczne Słowaków.

Tam nad rzeką Waag wznosi się dziś niewielkie miasteczko, posiadające około 3,000 mieszkańców.

Sięga ono dawnych czasów, a do dziś mury zamku położonego na wyniosłej skale świadczą, że musiało to być miejsce obronne.

Kiedyś w zamku tym mieszkał bohater Słowaków, Maciej z Trenczyna, słynny wódz i organizator, chociaż na krótko, państwa Słowackiego.

Węgrzy niezbyt łaskawie obchodzili się już od dawna ze Słowakami, to też skoro ostatni z potomków dynastyi Arpadów zmarł, dzielny pan na Trenczynie wystąpił zbrojnie i zwolnił od zależności węgierskiej wszystkie okręgi słowackie.

Z radością niewymowną powitał lud swego obrońcę i ogłosił go ziemi tej władcą. Niedługo jednak istniała ta samodzielność, bo zaledwie lat jedenaście (od 1301 do 1312 r.)

Z wojskami licznemi nadciągnął tu Karol-Robert i pogromił Macieja, a ziemię znowu dołączył do węgierskiej korony.

Odtąd też komitety te zwą Węgrzy „ziemią Macieja” (Mátyas földje).

Religią chrześciańską zasieli tu Cyryli i Metodyusz; później nieco Słowacy pozostając, w ciągłem niomal stosunku z Morawią, przywłaszczyli sobie zachodnią cywilizacyą, a Iskra z Brandysu rozpowszechniał naukę husytów.

Tak się nam przedstawiają dzieje Słowaków, co się zaś tyczy pochodzenia ich nazwiska, łatwo się możemy przekonać spytawszy Słowaka, zkąd pochodzi, a usłyszymy niezawodnie jedną z dwóch odpowiedzi: albo — „od Trenczyna”, albo — „od Slovenska”.

Kraj więc swój nazywają „Slovenskiem”, i Słowak jest z krwi i kości Słowianinem, co cała jego natura potwierdza.

Gościnny i serdeczny, otwarty i szczery, oto są znamiona jego, mowę zaś ma bardzo zbliżoną do staro-czeskich pamiątek językowych, Kraledworskiego rękopismu i Sądu Libuszy. Posiada nawet odrębną dyalektykę, a Szafarzyk rozbierając ich literaturę i mowę, naznacza im zupełnie odrębny kierunek i nie nazywa jej dyalektem, ale osobnem narzeczem.

Rzeczywiście prosty Słowak zachował wpływ tego narzecza pierwotnego, którym mówili jego władcy Morawianie i dziś może lepiej rozumie staro-czeską poezyę, niżeli sami Czesi. Dobrowski, pisarz czeski, w swojej „Historyi literatury czeskiej”, to samo twierdzi.

Tak się nam przedstawia mowa słowacka. I my ją rozumiemy lepiej, niżeli inne narzecza słowiańskie, rozumiemy prawie w zupełności, bo wpływ języka polskiego był znaczny na Morawię, a tembardziej i na Słowaków, którzy do dziś dnia stykają się z naszą krainą, szczególniej ci, którzy zamieszkują południowe stoki Tatr i Karpat.

Literatura słowacka nie oddawna datuje swoje powstanie, można powiedzieć, że nie upłynęło jeszcze sto lat od jej narodzin. Wprawdzie za Cyryla i Metodyusza posiadali własny swój przekład pisma świętego, ale po za tem nic, oprócz kilku książek religijnej treści. Najstarszą z nich wydaną jest katechyzm Lutra, oddrukowany w Bardiejowie w 1581 roku i Pruna w Frasztaku (1581 czy 1583 r.)

Ale i te odznaki życia religijno umysłowego, giną w trudnych czasach, jakimi są wiek XVI-ty i XVII, nawiedzany nieustannemi napadami Turków. To też zebrane w tych czasach pieśni kościelne, przepełnione są skruchą, żalem, a przedewszystkiem niezwykłą boleścią, wynurzającą się w rodzaju skargi. Bo i do kogoż miał się z nią udawać? bo i gdzież miał szukać pociechy i pomocy?

Autorami tych prawdziwie gorzkich pieśni, byli w XVI wieku Jan Silwan (zmarły w 1572 roku), Jerzy Baranowski, rektor Żylińskiej szkoły (†1561 roku), ks. Jan Taborski († 1576 roku), Jan Pruno z Farsztaku († 1586 roku) i inni. Ale pieśni ich były pisane nie po słowacku lecz po czesku.

Treść ich obraca się około wypadków zaszłych podówczas na horyzoncie europejskim, a szczególniej tych, które Słowakom dały się więcej we znaki, jak np.: „O klęsce pod Mohaczem”, gdzie Turcz pobili wojska węgierskie i kraj ten pod swoją objęli władzę, „O Murańskim zamku”, „O Mikołaju Zryńskiem podczas oblężenia Sigetu” (1566 roku) i t. p. Wszystkie noszą na sobie charakter religijny, (*) i więcej w nich chodzi o zgwałcenie świętych zasad chrześciańskich, niżeli o utracenie praw narodowych. Takich pieśni podówczas nie brakło, znajdujemy je wszędzie, w poezyi czeskiej, morawskiej, słowackiej, a nawet i pokrewnych im ludów.

Wiek XVII jeszcze gorzej się przedstawia. Prądy polityczne, prześladowania religijne, bez porównania więcej jeszcze wpływają na upadek rozwoju umysłowego. Pomimo jednak tych nieustannych prześladowań w szczególności Słowaków, za ich dążności reformatorskie i skłonności ku husytyzmowi, zjawiają się ludzie, którzy od czasu do czasu przypominają i zachęcają do wytrwania w tej nowej wierze swoich współwyznawców. Na czele ich stoi dosyć utalentowany kaznodzieja ewangelicki, Jerzy Tranowski, (ur. 1591 † 1637 roku), rodem z Silistryi, który wydał „Żalmy a pisnie duchowni stare i nowe” (w Liptowie 1635 r.). Książeczka ta doznała niezwykłego powodzenia, i przyjęto ją za kościelny kancionał, nietylko u Słowaków, ale nawet w Czechach i na Morawie. W zbiorku tym było kilkanaście pieśni tłomaczonych z niemieckiego, oryginalnych zaś 150, zebranych z ust ludu. Po Biblii była to najwięcej rozpowszechniona książka i od roku 1635 rozeszła się przeszło w dwudziestu edycyach, ma się rozumieć powiększonych każdym razem.

Taką literaturę posiadali Słowacy do końca

(*) Niektóre z tych pieśni znamy z rękopismów, inne przechowały tylko swoje tytuły. Patrz Kollar: Narod. śpiewy Tom I.

XVIII wieku. Jeszcze w XVII stuleciu da się zanotować kilkunastu pisarzy, ale zawsze religijnych i to ewangielickich, chociaż stosunek ludności słowackiej usegregowany według wyznań, jest w niezrównanej większości po stronie katolików. Podług Szafarzyka, wszystkich Słowaków ma być do 2,750,000, z których 1,950,000 jest katolików, a reszta 800,000 protestantów.

Czoernig, podobno bezzasadnie, zmniejsza całą tą liczbę do 1,780,000. Według statystycznych danych petersburskiego etnograficznego komitetu, wszystkich Słowaków ma być około 2,220,000, z których 1,580,000 katolików, reszta zaś, około 640,000 protestantów.

(*Dokończenie nastąpi.*)

POŻEGNANIE.

(Z węgierskiego.)

Blado świeci księżyc,
Brzmi wieczorny dzwon,
Pożegnanie śle mi,
Jego smętny ton.

Pobłogosław Boże,
Kąt ten pełny ziół,
Gdziem tak wiele szczęścia,
Trosk tak mało czuł.

Błogosław i ciebie,
Siny wzgórku mój,
Gdziem siadywał nieraz,
Plotąc marzeń rój.

Jak mi ciężko żegnać,
Mój rodzinny kąt,
Gdybym-ż mógł sierota,
Nie odchodzić stąd!

Tylko ty, strumyczku,
Jeden śród mych dróg,
Pójdziesz razem zemną,
Wieść nas będzie — Bóg!

Sandor Vachott.
(Tłom. A. L.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

PRZEZ

SEWERYNĘ DUCHIŃSKĄ.

Rip, wodewil z podania amerykańskiego.—*Tajemnice Doktora Grimskawe*, powieść Hawthorna. — *Jej królewska mość kobieta*, studya Oktawiusza Uzanne. *Taczka gałganiarza*, przez p. Polian. — Podróż do Hiszpanii posła marokańskiego, w końcu XVII wieku.

(Dokończenie.)

Wśród noworocznych publikacyi, przeznaczonych na kolendę dla Paryżanek, błyszczy ozdobny tom pod tytułem: „Son Altesse la Femme" (Jej królewska mość kobieta). Autor dzieła, Oktawiusz Uzanne, w rozprawach pełnych erudycyi i psychologicznych uwag, określa stanowiska kobiety, w każdej epoce dziejowej. Uwagi te przeplata powiastkami, to sentymentalnemi to znów humorystycznemi, stosownie do czasu, w jakim rozwija się akcya. Ciekawa to galerya obrazów naszkicowana fantastycznie w delikatnych zarysach.

W szesnastym wieku, występują na widownię przyjaciółki poetów: *Viola* znana z pieśni *Dubellay'a*, i Helena opiewana przez Ronsarda, naczelnika słynnej plejady. Do tych uczonych Helenistek, możnaby policzyć ową Lydyą, która tak urzekła naszego Jana z Czarnolasu, że nazywa ją mistrzem swoim:

„Ona słodszych nad wszystko uczyła mnie pieśni,
Jakie nucą śmiertelni przez bogów natchnieni,
By kiedyś sława rzekła, że nie same Traki,
Lecz i Sarmaty swoje miewały śpiewaki."

Biedny poeta złudzony kłamliwą obietnicą czarodziejki, gotów był już zabrać ją do kolasy, usłać jej gniazdko w cichym swym Czarnolesiu. Ale złudzenie pierzchło, Lydya nad słodki dźwięk lutni, przełożyła dźwięk złota, ku innemu skierowała myśl i serce, a zagniewany poeta, wraz z nią przeklina cały ród niewieści:

Pisz ty na wietrze i na wodzie słowa,
Które zdradziecka szepcze białogłowa.

Snać Uzanne nie słyszał nic o Janie z Czarnolesia i owej margrabinie d'Aubusson, znanej pod imienien Lydyi, inaczej byłby ją wplótł do wieńca współczesnych jej humanistek.

Z epoki Ludwika XIV, autor maluje postacie owych *Sawantek* zwanych precyozami, (które stworzyły osobny język, gdyż zwykła mowa, zdała im się zanadto barbarzyńską), a pod ktorych wpływem, wyrodził się w literaturze niesmaczny panegiryzm, surowo schłostany przez Moliera. Za Ludwika XV, występują na widownię rozpieszczone markizy, z głową piramidalnie utrefioną, z muszką charakterystyczną, obok różowych ustek, które Watteau uwiecznił pędzlem. W roku 1793 zmienia się nagle postać rzeczy. Miejsce markizy, zastępuje obryzgana krwią obywatelka. Za Dyrektoryatu, ukazują się mytologiczne nimfy i boginie, posągowe Greczynki i Rzymianki w koturnach. Epoka sentymentalizmu powraca z Restauracyą Burbonów. Obraz dzisiejszych Paryżanek, z różnych szczebli spółczesnych, nakreślony dowcipnie, zakończa tą ciekawą galeryą.

W każdej epoce, autor przemawia właściwym językiem. Rysownicy oddali też wybornie, typowe postacie różnych czasów w drzeworytach, aquafortach, chromolitografiach i sztychach angielskich.

Taczka gałganiarza, nieraz już poruszała werwę tutejszych psychologów i poetów. Powtarzają od dwóch wieków we Francyi piosenkę Malherba, natchnioną widokiem wózka pełnego śmieci, poeta kończy ją rzewną zwrotką:

Tu czar życia znika wszystek,
Tu zarówno się zanurzy,
I wawrzynu suchy listek,
I uwiędły listek róży.

Ponieważ jednak nic nowego nie ma pod słońcem, młody autor Polian, podjął dziś tenże sam temat, i osnuł na nim cały szereg obrazków prozą. Występuje on przed czytelnikiem w postaci gałganiarza, wysypuje przed nim swoją taczkę. Każdy przedmiot nasuwa mu jakąś myśl, niekiedy filozoficzną, to znów odnoszącą się do psychologii różnych ludów, a zawsze pełną werwy i wesołego humoru. Wszystko co mu wpadnie pod oczy, zacząwszy od stłuczonego szkła, od skórki chleba, do szczątków niedopalonych cygar, daje autorowi pobudkę do nowych spostrzeżeń i zajmującej pogadanki.

Czytając tę książkę pisaną dla dorosłych czytelników, przyszło nam na myśl, ilu to rzeczy, możnaby w ten sposób nauczyć dziatwę naszą, ukazując jej choćby już nie taczkę gałganiarza, ale pierwszy lepszy pokój, albo ogródek. Każdy sprzęt, każdy obraz na ścianie, każde drzewo lub kwiatek, nasunęłyby tu mnóstwo spostrzeżeń i wspomnień dotyczących historyi, geografii, botaniki, przemysłu i t. p. Źródło to nieprzebrane, trzeba tylko umiejętnie w niem czerpać, a nadewszystko, żywą opowieścią porwać umysł i wyobraźnię dziatwy.

Na ostatniem posiedzeniu, akademii napisów i literatury, członek instytutu Barbier de Meynard, ofiarował dzieło świeżo przetłomaczone z arabskiego języka, pod tytułem: „Podróż do Hiszpanii" posła marokańskiego, przekład p. Sauvage. Ów poseł wyprawiony był przez Szeryfa, Mulay Izmaela w roku 1691, do króla hiszpańskiego, Karola II-go w celu wykupienia jeńców wojennych.

Ciekawy to pogląd muzułmański na Europę i jej cywilizacyą. Pycha muzułmanina, objawia się na każdym kroku, w bardzo naiwny sposób. Wszystko wprowadza w podziw wyznawcę proroka, tak wielki post w Madrycie, jak uroczystość wielkotygodniowa. Zwiedza poseł kościoły i klasztory, w rozmowach z przełożonymi zakonów, usiłuje pokazać wyższość muzułmanizmu nad chrześciaństwem.

Ze wszystkich nowości europejskich najwięcej podziwia dziennikarstwo, kiełkujące zaledwie w tamtych czasach, określa je w bardzo oryginalny sposób.

Skoro tylko — mówi Arab — nadejdzie wiadomość z obcych krajów, zanoszą ją spiesznie do domu, gdzie jest urządzony młynek na pismo. Kieruje nim człowiek, który płaci za to roczny podatek królowi. Zbiera on wszystkie nowiny i wsypuje razem do młynka, kiedy je zmiele dostatecznie, wydobywa z pod walców tysiące arkuszy drukowanych, które sprzedaje po mieście. Zowie się to gazetą. Czytamy tu wiele wiadomości — dodaje poseł — ale w jednych pełno przesady, inne wierutne kłamstwa, obmyślane dla zaciekawienia próżnującej gawiedzi.

Takie określenie dziennikarstwa, z końca XVII wieku, nie daż się niestety zastosować i do dzisiejszych czasów?

Z pod naszej strzechy.

Nikt chyba nie powie, ażeby życie nasze w obecnej chwili było bardzo przyjemnem. Ze wszech stron słyszymy żale i narzekania na biedę, kłopoty, trudność pozbycia się ich i t. d. Liczba niezadowolonych wzmaga się bez przerwy, nawet weso-

le tony muzyki balowej nie mogą zupełnie rozchmurzyć zasępionych lic.

Zapewne na dnie tego niezadowolenia muszą być ważne powody — trudno temu zaprzeczyć, ale też trudno zdobyć się na humor w ciężkich czasach i wesołości prawdziwej, szczerej, tryskającej bez wymuszenia, spotykamy coraz mniej. Coraz więcej za to ludzi z obliczem zasępionem, okiem poważnie utkwionem w dal, śledzącym przyszłość... niezbadaną.

Rok ubiegły dotknął nas materyalnie bardzo ciężko — nowy nie zapowiada wiele polepszenia.

I rzecz na pozór dziwna... niepowodzenia materyalne sprowadziły myśl naszą w dziedzinę pobudek i czynników moralnych, odrywamy ją od trosk finansowych, zaczynamy się baczniej przypatrywać życiu naszemu duchowemu. Logika kontrastów upomniała się o swoje prawa. Znużeni widokiem smutnej jednej strony życiowej, spojrzeliśmy w drugą a i ta — niezbyt wesoło się przedstawia.

„Prawda”, która chyba nigdy marzycielstwem nie grzeszyła i nie grzeszy, dla której rozwój bytu materyalnego był zawsze najciekawszym objawem i miernikiem życia i jego sił, zajrzała w głąb tego życia w obecnej dobie i zreasumowawszy spostrzeżenia, wcale z nich nie jest zadowoloną. Oto co w niej czytamy:

„Cały prawie ogół rzucił się w kierunku materyalistycznym, rachunkami praktycznemi zapchał swoją głowę, serce, a często i sumienie. Gdyby myśli na czołach ludzkich wyciskały swe piętna, widzielibyśmy na nich głównie jedno, pięcio, lub sturublówki.

„Nie jest to, jak rzekliśmy chwilowe zboczenie, ani plon publicystycznego posiewu, ale naturalny wynik stosunków życiowych, które nas zwróciły na drogę praktyczną. Przyznać trzeba, że zwrot taki ma swoje strony dodatnie o tyle, o ile zbyt długo grzeszyliśmy zaniedbaniem gospodarczem i o ile wszelki dobrobyt daje siłę. I pomimo nawet wielu wyrodzeń organizmu społecznego, pomimo nadużyć, nieprawości, krzywd i gwałtów, które gęsto wplatają się w osnowę ekonomicznego postępu naszej doby, nie pragnęlibyśmy ażeby on ustał, ażebyśmy powrócili do dawnych czasów tradycyjnego skostnienia, w którem dobrze było i tym, którym się działo najlepiej i tym, którzy nie sądzili, aby im kiedyś mogło być lepiej. Niepodobna wszakże zamykać oczu na ujemne strony zmateryalizowania się, tem silniejszego, że jak każdy zwrot świeży, pochłania całą energię i uwagę społeczeństwa. Pieniądze wynalazł rozum, a nie sumienie i dlatego są one zwykle w ostrej z nim niezgodzie. Trudno nie dostrzedz, że równomiernie z gonitwą za zyskiem, opada u nas poziom moralności, stajemy się praktyczniejsi i w etyce. Wiele przyczyn składało swe wpływy na pomnożenie u nas w ostatnich czasach liczby przestępców, ale nie pozostała obojętną i ta, która tkwi w zaznaczonem powyżej dążeniu...”

Kończy zaś cytowany artykuł „Prawda” słowami:

„Siła wymagań życia jest potężniejszą od najrozumiejszych dowodzeń teoryi. O ile wszakże słowo publiczne na kierunek dążeń ogólnych oddziałać może, powinno spełniać swój obowiązek. A obowiązek ten dla prasy, dla wszystkich regulatorów opinii kreśli się jasno: nie paraliżując rozwoju ekonomicznego, należy równoważyć go moralnym i umysłowym, ażebyśmy nie zdziczeli, ażebyśmy nie rozmnażali się w społeczeństwo bogatych samolubów i głupców; zasoby materyalne są nam potrzebne, ale niech w nich nie zużywa się cała nasza energia, niech w nich nie toną wszystkie nasze zamiary...”

Z przyjemnością przytoczyliśmy powyższe uwagi „Prawdy”, znajdując w nich istotnie słowa głębokiej, rzetelnej prawdy.

Dążyliśmy do wzbogacenia się materyalnego, zaniedbując często bogactwa ducha i moralności i oto dokąd zaszliśmy? Stanęliśmy u progu bankructwa, albo długiej jeszcze finansowej stagnacyi. Produkta nasze i wyroby spotykają coraz groźniejszą konkurencyę, a rady na to nie znaleźliśmy dotąd. Tymczasem upadek moralności zbyt jest widoczny, ażebyśmy o nim przemilczyć mogli. W pogoni za rublem zatraciliśmy wiele z tych skarbów szlachetnych, bez których życie spada bardzo nizko.

Dobrze uczyniła „Prawda” nawołując do reformy życia pod tym względem. Nas cieszy, że właśnie w „Prawdzie” spotkaliśmy te uwagi, bo pismo to w duchu powinno się uderzyć w piersi i powiedzieć sobie: i moja w tem wina...

Któż z nas o tem nie wie, że na drogę materyalistyczną najdonośniej „Prawda” nawoływała, a chociaż sama nie przyznaje prasie zbyt silnego wpływu na prąd życia, jednak zupełnie zaprzeczyć go nie może i nie chce. Słusznie więc czyni odzywając się dziś w sprawie tak ważnej... a może głos ten nie pozostanie bez echa.

Myśli powyższe zbliżyły nasz znowu do t. z. kwestyi żydowskiej, która nie przestaje być dla nas ważną i piekącą. Od wielu lat już zajmuje umysły, a jednak owoce dotąd nie dojrzały jeszcze, głośne nawoływania nie zbliżyły nas jeszcze do upragnionego celu.

Mamy tu na myśli uspołecznienie żydów—więc naturalnie nie może być mowy o tych jednostkach, które czując i działając szlachetnie są prawdziwymy obywatelami kraju. Tych zawsze należy z dyskusyi wyłączyć, gdyż w obec nich, już kwestya żydowska nie istnieje.

Lecz pomówmy o masach szerszych, żyjących, ruchliwych, a jednak myśli zgody obcych, lub wprost nieprzychylnych. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że egoistyczne i materyalistyczne dążenia tych mas są główną zaporą do zbliżenia się ich ze społeczeństwem, w pośród którego żyją, którego cząstką stać się powinne. Pieniądz je pożera, żądza grosza pali, duszą ich się stała i rugurje wszelkie szlachetniejsze dążenia już nie względem nas, lecz względem własnego życia moralnego.

Czują to żydzi bardzo dobrze i co pocieszającym jest objawem, coraz częściej odzywają się głosy, wzywające do reformy wewnętrznej. Pomijamy zaślepienia talmudyczne, które w łonie samychże żydów znajduje licznych i silnych nieprzyjaciół, pomijamy dążenie do reform religijnych jak naprzykład adwokata Józefa Rabinowicza w Kiszeniewie, który utworzył nową sektę uznającą Chrystusa, obchodzącą nawet uroczystość Bożego Narodzenia — ale nie obojętnymi są dla nas głosy prasy żydowskiej, które pewnych reform społecznych i moralnych domagają się koniecznie.

Niedawno wystąpiło lwowskie czasopismo „Izraelita” z artykułem p. t. „Nasze stosunki”, a „Izraelita” warszawski przedrukował go, godząc się zupełnie na myśl w nim zawartą.

Żali się „Izraelita” na dziennikarstwo polskie, chwytające skwapliwie każde słowo i niejednokrotnie wyzyskujące je na szykanę żydów. Powiada, że żydzi nie mogą się nawet głośno przyznać do wad swoich, gdyż dzienniki nasze natychmiast je podnoszą i tem gorliwiej je wytykają, że z najautentyczniejszego biorą je źródła. (Zarzutu tego nie można bynajmniej stosować do całej polskiej prasy, która na tyle jest uczciwą, iż wszelkie przyznanie się do winy uważa jako dobry, pomyślny i zapowiadający poprawę obrót. Z takich objawów cieszyć się tylko możemy).

Otóż, powiada dalej „Izraelita”, to stało się powodem wyrobienia w pośród żydów i ich prasy „moralności okazowej”, polegającej na zatajeniu wielu rzeczy złych, a jednak wymagających poprawy i publicznego do niej nawoływania. Przyznaje „Izraelita”, że kierunek ten „nie może żadnych dodatnich przynosić korzyści” i nawołuje do zarzucenia go, a wstąpienia na drogę nową, którejby przyświecała prawda i szczerość.

Pisząc się na te uwagi dziennika lwowskiego, dodaje „Izraelita” warszawski, iż „postawa wyłącznie broniąca, którą pewne organa żydowskie zachowują, jest stanowiskiem niedorastającem całkowitego zadania tej prasy. Absorbując bowiem całą jej działalność w szermierce najczęściej bezowocnej z wewnętrzną przekorą, zasłania oczy i zobojętnia dla spraw wewnętrznych, gdzie najżywotniejsza może część węzła leży zadzierzgnięta...”

Cieszy nas głos ten i życzymy, aby wydał dobre owoce. Niech prasa żydowska wyruszy z zajmowanego dotąd stanowiska polemicznego, niech się gorliwie zajmie reformą wewnętrzną społeczeństwa żydowskiego, a wtedy bezwątpienia łatwiej nam będzie wzajemnie się porozumieć. Chodzenie pomacku i wołanie o światło, a niestaranie się o nie rzetelne, czczą jest tylko zabawką, dla obu stron szkodliwą. Mogą organa żydowskie być przekonane, że prasa nasza nie ośmieszy ich, ani też rzuci kamieniem potępienia, gdy do wad swoich i win szczerze się przyznają. Tylko szczerość i uczciwość dążeń do celu nas zawiodą.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** † W dniu 15 b. m., przeniósł się do wieczności ś. p. ks. Kacper Borowski, dawniej biskup Żytomierski, ostatnio Płocki, w wieku lat 82. Urodził się w r. 1802 a w 1830 otrzymał święcenia kapłańskie. Od 1833 do 1848 był profesorem Akademii Wileńskiej, następnie Petersburskiej, a w 1848 otrzymał prekonizacyą na biskupa Łucko-Żytomierskiego.

W 1883 roku powołany został do urzędu biskupiego, jako biskup Płocki.

Czcigodny, sędziwy kapłan dzielną dłonią ujął laskę pasterską, lecz zaledwie zdążył dopełnić objazdu kanonicznego dyecezyi i w kilku listach pasterskich przemówić do duchowieństwa i ludu, zasnął w Bogu; w niespełna dwa lata pasterstwa, zastygła dłoń, którą przez tak długie lata kapłaństwa błogosławił lud swój i do wyższych prowadził celów. Niezliczone tłumy wiernych, odprowadziły na wieczny spoczynek zwłoki czcigodnego pasterza.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** W piśmie madryckiem p. n. „Revista Contemporanea” mieści się artykuł don Juana de Signanza, dotyczący naszych stosunków artystycznych, nader sympatycznie określonych. Nie mało to napsuło krwi dziennikarzom niemieckim, oskarżającym autora o zbyteczną stronność.

*** Jeszcze w roku 1865, około 350 rodzin wieśniaczych z pod Tarnowa wywędrowało do Ameryki. Natuławszy się rok cały po różnych prowincyach Stanów Zjednoczonych, do grosza się wytraciwszy, nędzarzami o żebraczym chlebie dostali się do Brazylii, której rząd mając ogromne przestrzenie bezludne, wysłał ich swym kosztem w głąb prowincyi Parany, obszarem swym równającej się z Francyą, a zaledwie dwa i pół miliona ludności mającej. Tam w okolicy miasta Cortiby darował im rząd około 700 włók puszczy leśnej. Po kilkunastu latach ciężkiej pracy przyszli do skromnego dostatku, zbudowali sobie kościół, poczem zwrócili się z prośbą do ś. p. ks. Pukalskiego biskupa tarnowskiego o przysłanie im księdza. Skutkiem tego zjechał do nich ksiądz Jan Adamowski, Tarnowianin, w końcu września r. z. Kolonia ta nosi nazwę w języku portugalskim „colonia polona Thomas Coelho”, oprócz niej w prowincyi Paranie są jeszcze trzy polskie osady z Galicyi pochodzące. Po straszliwej nędzy, z jaką kilka lat walczyli, rząd potrzebując rąk do pracy, obdzielił ich obszarem puszczy nad rzeką spławną i w pobliżu kolei, około 2,000 włók. Te osady mając łatwy zbyt drzewa i produktów, wkrótce doszły do zamożności, jest ich około 2,000 głów, utrzymują 3-ch księży, płacąc każdemu po 1,000 guldenów. Aparata kościelne, książki do nabożeństwa i szkolne sprowadzają sobie z Krakowa; wystawili już trzy kościoły i dwie szkoły. Księży otrzymali z Tarnowa, z którego okolic sami pochodzą. Ziemia urodzajna, zbiory nie zawsze dopisują.

*** W Metz zawiązało się tajne stowarzyszenie kobiet, którego celem jest powstrzymywanie Francuzek od zaślubiania Niemców. Postanowiły one nazwiska takich, jak je nazywają, renegatek, drukować w pismach paryzkich.

*** Z powodu statków odpływających codziennie w różne strony świata, niezwykle ożywiony port londyński, przedstawia widok nader ożywiony. Zwraca uwagę korpus wiebłądników, złożony z ochotników armii, z którego tłum pozwala sobie śmiać się i żartować; dalej „panie ambulansowe” odpływające do pielęgnowania rannych w Chartumie, Berberze i gdzie się okaże potrzeba. Panie te noszą ubiór szary, długi płaszcz z kapturkiem, osłaniający je od stóp do głów i kornet podobny do noszonego przez Siostry miłosierdzia. Większa ich część są młode, a niektóre odznaczają się rzadką pięknością. Odpłynięciu ich towarzyszył płacz i błogosławieństwa licznie zebranych widzów. Najciekawszem było odbicie od brzegu statku parowego, dostarczonego przez Towarzystwo rozkrzewiania Biblii w pośród cudzoziemców, a zajętego wyłącznie przez angielskich misyonarzy, wysłanych przez Towarzystwo do Ameryki Południowej. Jest to pierwszy statek towarzystwa, które zamierza wystawić całą flotę, w celu nawracania ludów pogańskich.

*** W Ameryce stowarzyszenie przeciw paleniu tytuniu przez kobiety, pozyskuje coraz więcej członków i coraz większą rozszerza działalność. Damy należące do najwyższych sfer stanęły na czele; mają miewać odczyty w których przedstawiać będą kobietom, aby powstrzymały się w imię przyzwoitości od tego szkaradnego nałogu, równie wstrętnego u kobiet, jak pijaństwo u mężczyzn.

*** W Japonii dopuszczono kobiety do służby telegraficznej, i w tym celu otworzony został dla nich nowicyat w Tokio. Na początek jest około 50 uczenic, połowa ich jest pochodzenia angielskiego.

*** Specyalne pisma francuzkie podają ciekawy fakt meteorologiczny, opisany przez inżyniera Bazin. W lecie r. z. w mieście Dijon zapełniła powietrze mgła błękitna, wydająca przykry wyziew siarkowy i tak gęsta, że zasłaniała słońce. Trwała całą dobę. Światło słoneczne barwy miedzianej, zaledwie mogące przedrzéć się przez nią, powlekało wszelkie przedmioty odcieniem błękitno-fioletowym. Z daleka zjawisko to przedstawiało się w postaci dymu, rozchodzącego się z rozległego pożaru, obejmującego cały horyzont.

Niezwykła ta mgła bardzo zainteresowała meteorologów. Powstawanie jej przypisują oni pożarom traw, przejętych siarką w landach Luneburgu, w pobliżu Hamburga. Przestrzenie tamtejsze porosłe są dzikiemi krzewy i paprocią, które włościanie palą dla wykarczowania gruntu i użyźnienia ziemi popiołem spalonych roślin. Tak więc wiatr unosiłby dym z tych pożarów powstały, aż na ziemię francuzką, co jest możebnem w czasie pogodnym.

Objaśnienie to tem jest prawdopodobniejszem, że przy panującym północnym wietrze, dym taki dostaje się z Holandyi przez dolinę Renu do okolic alpejskich, a niekiedy dochodzi aż do zachodnich granic Chin. Roczniki meteorologii zaznaczają podobne zjawiska mgły siarkowej, w latach 1783 i 1822.

*** Według przepowiedni Nostradamusa, ogłoszonej przed paru tygodniami w „Regensburger Tagb.” koniec świata przypada stanowczo w 1886 roku!!!

NOWE WYDAWNICTWA.

Gimnastyka bez nauczyciela i przyrządów, dla dzieci i dorosłych z przedmową D-ra Gustawa Dolińskiego, ozdobiona 30 fig. z dodatkiem ćwiczeń z piłką. Nakład Michała Arcta w Lublinie, cena kop. 25.

Mały podręcznik weterynaryi popularnej, zawierający sposób niesienia pomocy chorem zwierzętom, zebrał i napisał Franciszek Okniński, weterynarz. Nakład księgarni Teodora Paprockiego i S-ki w Warszawie.

Nowy projekt dla ludzi dobrej woli a przedsiębiorczego ducha, przez G. we Lwowie.

Kalendarz Powszechny na rok 1885 rok VII, nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki Chmielna Nr 8. Jako premium bezpłatne, dodane są dwa kalendarze: ścienny i kieszonkowy.

Trefniś i Lutnista fragment dramatyczny w jednym akcie, oryginalnie napisany przez Michała Wołowskiego, poświęcony mistrzowi polskiego słowa Janowi Królikowskiemu w 45-tą rocznicę małżeństwa jego ze sztuką polską.

Echa z południowej Afryki, przez Antoniego Rehmana, obejmują: 1) Szkice z podróży do Natalu i Franzwaalu. 2) Ludy pierwotne południowej Afryki. Lwów, nakład księgarni Gubrynowicza i Szmidta.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie wizytowe ze stanikiem z baskiną. Spódnica z gładkiego kolorowego aksamitu, zakończona u dołu wolantem fałdowanym. Tunika z broszowanego aksamitu, podszyta gładkiem aksamitem wywinięta i podpięta z przodu à la paysanne, z tyłu ma długo spuszczone bryty proste. Stanik ma z przodu podwójne ranwersy i zapina się na dwa rzędy guzików.

Ubranie balowe z wielkim trenem. Spódnica z gazy jedwabnej, przepinanej motylami z filigranowego złota, ma przód z broszowanego aksamitu; stanik i tren z atłasu, złożony w kontrafałdy naszyte, krzyżowanym złotym sznurem.

Sukienka dla małej dziewczynki. Przy krótkiej w kontrafałdy ułożonej spódniczce, włożony długi paltocikowy stanik, z szalowemi wykładami przy marszczonej kamizelce. Szarfa spięta z przodu klamrą metalową. Sukieneczka i fartuszek batystowy, wycięty, dla małego dziecka.

ZAWIADOMIENIA.

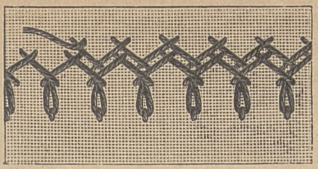
Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою. Варшава, 9 Января 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 20.

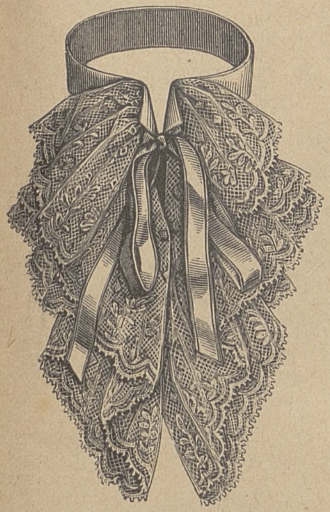
Opis do N-ru 4.

(Dokończenie.)

N. 10—11 i ryc. 17. w N. 3 Poduszeczka na toalete, ozdobiona skośnym haftem gobelinowym. Model kroju na ryc. 17.



N. 1. Szlaczek do ryc. 24 w N. 3.

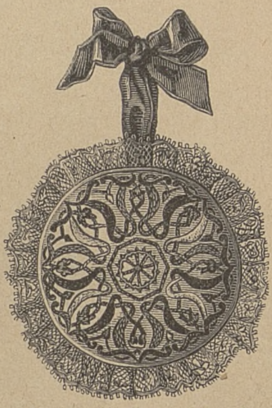


N. 3. Kołnierzyk z żabotem. Patrz fason na ryc. 48.

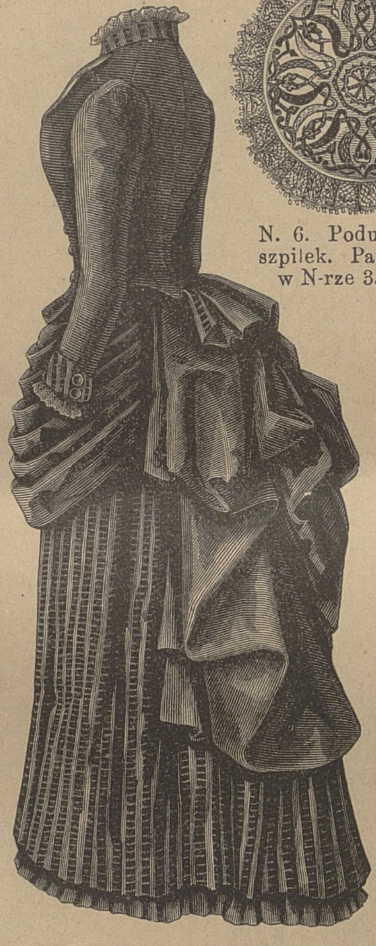
Wysoko wysłana poduszeczka, mająca 21 cent. długości a 16 cent. szerokości, pokryta była atłasem miedzianego koloru, i oszyta w koło sznurem jedwabnym. Z wierzchu dodane było przykrycie z kawałka żółtawego atłasu, trzymającego 20 cent. w kwadrat, któren składa się we czworo, i wycina z brzegów w zęby podług modelu i miar danych na ryc. 17 w N-rze 3. Lepiej jednak przed wycięciem zębów odrobić haft do którego $^1/_4$ część deseniu w naturalnej wielkości dajemy na ryc. 10. Pod haft gobelinowy podkłada się kanwę; robotę zaczyna się od środka, filozelą trzynitkową w dwóch cieniach koloru miedzianego i wodno zielonego, które zmieniają się w gwiazdach, a kratę skośną z pojedyńczych linijek robić ściegiem pojedyńczym kolorem złotym. Dwa rzędy ściegów gobelinowych odrobione dwoma wodno-zielonemi cieniami, dane są na brzegach zębów, oszytych wolansienką 4 cent. szeroką. Brzegi poprzeczne zdobią pompony i kwaściki zielone do cieniu.



N. 5. Rycerz. Deseń zdzierany na safianie do r. 26 w N. 3.



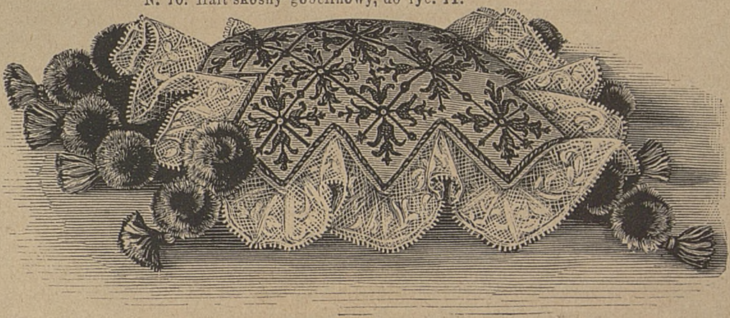
N. 6. Poduszeczka do szpilek. Patrz ryc. 20 w N-rze 3.



N. 8. Suknia z krótką draperyą. Patrz ryc. 1 w N-rze 3.



N. 10. Haft skośny gobelinowy, do ryc. 11.



N. 11. Poduszeczka na toaletę. Patrz ryc. 10.



N. 12. Cygarnica. Malowanie na drzewie.



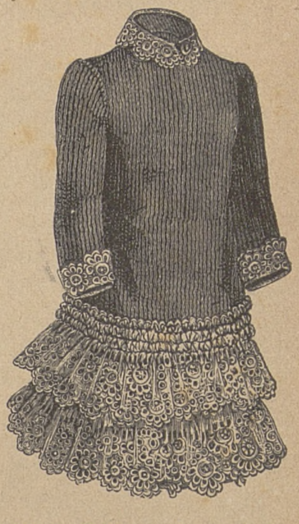
N. 13. Haft z aplikacyą do ryc. 7.

N. 17—19. Bukiety do ubrania głowy i do przypięcia na ramieniu i wachlarz z kwiatów.

Najmodniejsze w obecnej porze wachlarze do wieczorowego ubrania, stanowi jeden kwiat olbrzymiej wielkości, zręcznie ułożony na okrągłym kawałku tektury, z rączką otoczoną liśćmi. Nasz wachlarz ryc. 19 odpowiedni do kwiatów przy sukni, stanowiła wielka róża herbaciana, ułożona na kółku z tektury, mającem 24 cent. średnicy, pokrytem atłasem różowym, rączka pokryta takim samym atłasem, miała 14 cent. długości. Do bukietów do ramienia i głowy, ryc. 17 i 18, ułożonych z białych pluszowych róż wodnych, z pięknemi trawnemi liśćmi do cieniu w złote żyłki, wachlarz stanowiła takaż róża.



N. 2. Szlaczek do ryc. 32 w N-rze 3.



N. 4. Sukieneczka trykotowa dla małej dziewczynki.

N. 20. i ryc. 45—46. Woreczek do robót, ozdobiony robotą szydełkową.

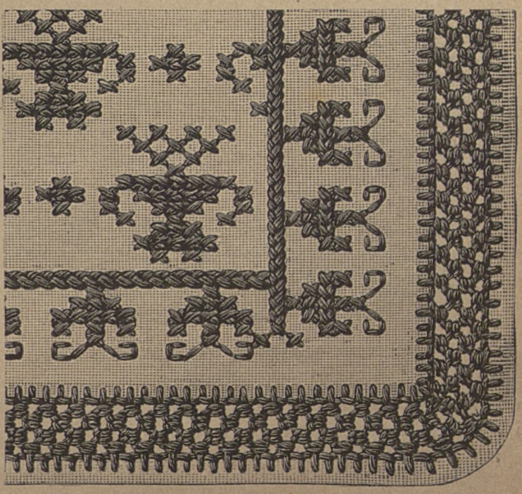
Woreczek z niebieskiego atłasu z blado-żółtą jedwabną podszewką, 38 cent. szeroki a 20 długi, z denkiem okrągłem mającem 7 cent. średnicy, podłożonem tekturą, zdobi robota szydełkowa z blado żółtej kordonkowej bawełny, do której próbkę znacznie zmniejszoną denka wraz z dwoma pierwszemi obrobieniami, stanowiącemi boki, dajemy na ryc. 46. Na ryc. 45 podane są w naturalnej wielkości dwa następne obrobienia i szlaczek górny ozdobiony grelotkami szydełkowemi, które robione są na foremkach drewnianych,



N. 7. Woreczek do zegarka. Patrz r. 13.



N. 9. Suknia z paletocikowym stanikiem, dla starszej osoby.



N. 14. Wyszycie ściegiem plecionym i kratka łącząca brzegi, do ryc. 41.



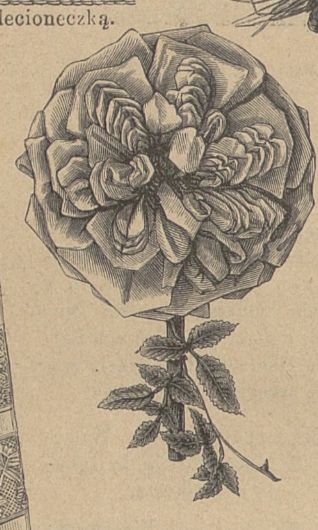
N. 15. Ząbki szydełkowe z plecioneczką.



N. 17. Bukiet z lilji wodnych do przypięcia na ramieniu.



N. 21. Fartuszek zdobny wszywką i koronką.



N. 19. Wachlarz w kształcie kwiatu.

ry zmarszczony i wszyty w pasek.

N. 22. Krawatka z chińskim haftem.

Uszyta z miękiej ponsowej materyi jedwabnej liczy 140 cent. długości a 38 szerokości, z brzegów odziergana w ząbki ponsowe 1 cent. głębokie, przy których dany szlaczek 3 cent. szeroki. Na końcach dany haft chiński 14 cent szeroki, odrobiony jedwabiem i złotem, ściegiem płaskim i krzyżykowym.

N. 23. Ubranie wieczorowe.

Odrobione z blado-różowej krepowej gazy jedwabnej i takiegoż jedwabnego repsu, zdobne koronką 10 cent. szeroką i aksamitką 10 i 2 cent. szeroką. Przody stanika ścięte bawetowo i plecy zakończone sutem karoczkiem, są środkiem przemarszczane, w odstępach 3 cent. zacząwszy na 8 cent. powyżej wcięcia aż do dołu, jak to widać na ryc. 23. Zapięcie z przodu na haftki zasłania żabotowe fałdowanie z koronki dane nakształt berty w około podłużnego wykroju stanika. Rękawy sięgające do łokcia dopełnione bufą zmarszczoną, 12 cent. szeroką, oszytą koronką i przy ręce zebraną na elastykę.

w kształcie kulek, oczkami ścisłemi, i przyczepione na sznureczkach łańcuszkowych, w odstępie jeden i pół cent. Wykończoną robotę, stanowiącą rodzaj koszyczka, przyczepia się na woreczku.

N. 21. Fartuszek zdobny wszywką tiulową.

Do przybrania batystowego fartuszka, mogą służyć wszywki i koronka fabryczna lub ręcznie wywodzona na tiulu, siatkowa, szydełkowa lub t. p. do której wzory znajdują się w Tygodniku Mód. Prosty bryt z boków ścięty kliniasto u gó-



N. 25. Kapotka z rondkiem futrzanem.



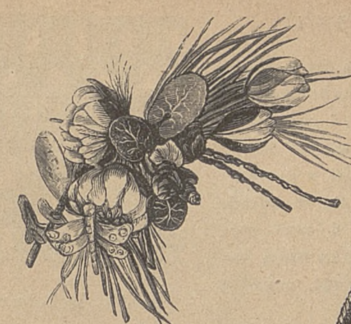
N. 23. Ubranie wieczorowe.

N. 24. Ubranie strojne wizytowe.

pokryty jasno-bronzowym aksamitem, fałdowanym na główce a gładko danym na rondku. Przybranie stanowi skos aksamitny, dwa pióra bronzowe i trzy nakrapiane białe i wstążka bronzowa, z której dane końce i kokarda w kształcie motyla, podpinająca rondko.

N. 27—28. Kołnierzyk i mankiety naszyte pletnią.

Uszyte są ze złożonych podwójnie skosów materyału kanwowego, jeden i pół c. szerokich, przedzielanych złotą pletnią i ogarnirowane u dołu wachlarzową riuszą z koronki 2 cent. szerokiej. Kołnierzyk skośnie założony, spięty kokardą z wstążki 2 centymetry szerokiej.



N. 18. Bukiet z lilji wodnych do głowy.



N. 16. Ząbki szydełkowe z mignardissą.



N. 20. Woreczek do robót z denkiem szydełkowym. Patrz ryc. 46.



N. 22. Krawatka z haftem chińskim.



N. 26. Kapotka ze szpiczastą główką (capucine).

N. 29—30. Kołnierzyk i mankiety haftowane złotem. Patrz ryc. 3 w N. 3.

Haft złotem przedstawiony w naturalnej wielkości na ryc. 3 w N. 3, odrobiony był na srebnej materyi, ale za równo ładnie przedstawia się na aksamicie lub atłasie. Drobne i większe składane listeczki wyszyte są nitką złotą, pojedyńcze listki sychem, a muszki odznaczone blaszkami, przytwierdzonemi bajorkiem. Zakończenie brzeżne stanowią cztery rzędy sznureczka złotego i koroneczka złota.

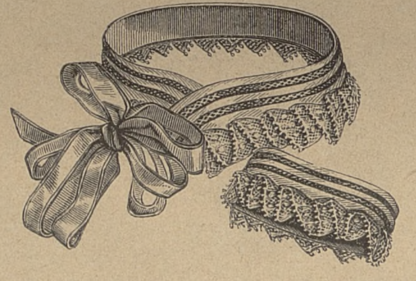
N. 31—32. Ubrania wizytowe.

N. 31. Suknia z bawetowym stanikiem.

Model z czarnego aksamitu miał środkiem przodu wstawiony klin atłasowy, w górze 20 cent. szeroki, haftowany sznelą i dżetem, gładkie bryty boczne sięgające do połowy sukni, zakończone są wolantem ułożonym w kontrafałdy, przeszytym w nagłówek 10 cent. szeroki. Tylny bryt podpięty w górze w dwie bufy, niżej spuszczony gładko. Krótki stanik bawetowy, ma stojący kołnierzyk z przodu nieschodzący się na 8 cent. podgarnirowany od spodu koronką, ułożoną w żabot. Rękawy półdługie zakończone gładkim mankietem, ogarnirowane koronką.



N. 32. Ubranie wizytowe z odmiennym stanikiem.



N. 27—28. Kołnierzyk i mankiet naszyte pletnią.

N. 24. Ubranie strojne wizytowe.

Naszycie plis na staniku naśladuje kaftanikowe przody szeroko otwarte, dopełnione kamizelką fałdowaną, przyciśniętą u dołu bawetowym paskiem. Fartuszkowa draperya przednia, ma w górze dodane dwie bufy. Ubranie to było z materjału (virginie) białego gładkiego i w rzucik ponsowy sznelowy, zastosowanie wskazuje rycina 24; plisy i pasek z ponsowego pluszu.

N. 25. Kapotka z futrzanem rondkiem.

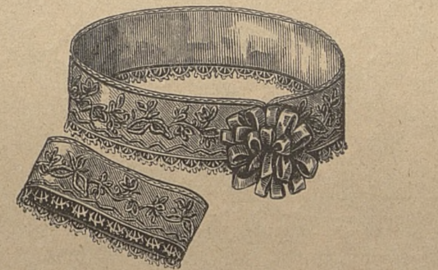
Fasonik z wysoką główką, pokryty fałdowanym aksamitem ciemno-zielonym, ma rondko dyjademowe 3 cent. szerokie, pokryte futrem bobrowem. Przybranie w około główki ułożone ze skosu aksamitnego, 10 cent. szerokiego, przepięte brylantowaną kitką z ciemno zielonemi piórkami i bronzową agrafką. Końce do wiązania z wstążki ottoman 6 cent. szerokiej.

N. 26. Kapotka ze szpiczastą główką (capucine).

Rycina 26 przedstawia oryginalny fasonik kapotki „capucine" z bardzo szpiczastą główką,



N. 34. Sukienka dla dziewczynki lat 7—9. Patrz ryc. 21 w N. 3. N. 35—36. Sukieneczka dla dziecka lat 2—4. N. 33. Ubranie domowe. Patrz ryc. 43. N. 37. Sukienka trykotowa dla dziewczynki. N. 38. Fartuszek z napierśnikiem. N. 39. Ubranie dla chłopczyka lat 3—5.



N. 29—30. Kołnierz i mankiet haftowane złotem. Patrz ryc. 3 w N-rze 3.

N. 32. Suknia z odmiennym stanikiem.

Spódnica z ciemno-bronzowego sukna, złożona w szerokie płaskie fałdy, objęta u dołu plisą pluszową, podszyta od spodu futrem, danem na spódnicy podszewkowej. Oryginalny stanik z pluszu mchowego koloru ma ranwers, kołnierz i mankiety z velours frisé w deseń kolorowy; żabot koronkowy dany skośnie nad ranwersem i na bawecie poniżej zapięcia z boku. Mankiety podgarnirowane koronką.



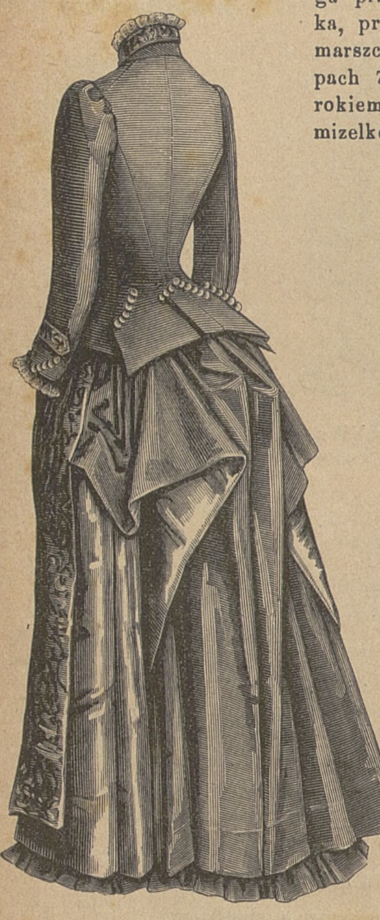
N. 31. Ubranie wizytowe z bawetowym stanikiem.

N. 33 i 43. Ubranie domowe.

Rycina 33 przedstawia spódnicę ułożoną w kontrafałdy 6 centym. szerokie, przedzielane pletnią tejże szerokości; na ryc. 43 widzimy kontrafałdy przedzielane drobniutkiem plisowaniem. Draperya z przodu dana nakształt skośnego fartuszka, podpięta z boku pomponem, z drugiego podniesiona podług ryc. 43, tylny bryt krótko bufiasto sfałdowany.

N. 35 i 36. Sukieneczka dla dziecka lat 2—4.

Przedstawiona z przodu i z tyłu, odrobiona jest raz z aksamitu w prążki, drugi raz z popielatego beżu; do przybrania użyta koronka niciana 13 cent. szeroka. Spódniczka 16 cent. długa przyszyta do podszewki stanika, przykryta wolantem z koronki marszczonej, przepinanej w odstępach 7 cent. puklami 6 cent. szerokiemi. Przody stanika mają kamizelkę krótszą o 6 cent. pokrytą

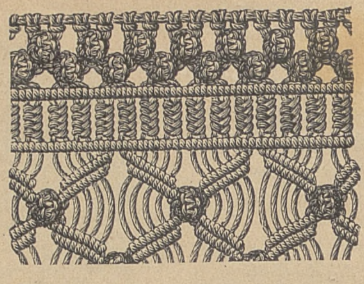


N. 42. Suknia z długą draperyą. Patrz ryc. 2 w N. 8.

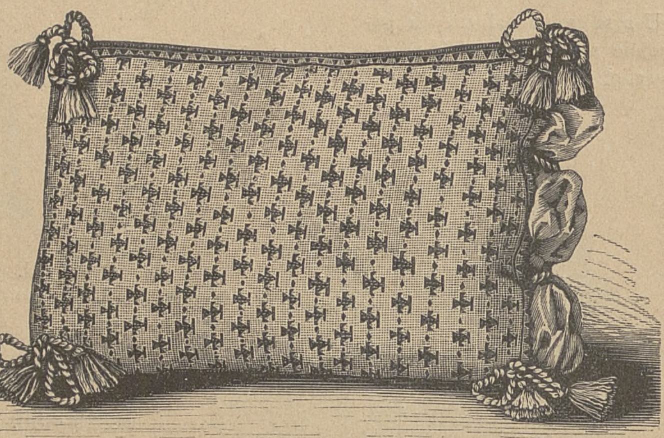
marszczonym materyałem, zapiętą środkiem na guziczki, u góry 5 u dołu 22 cent. szeroką. Plecy u dołu rozchodzą się w pukle podłożone do spodu.

N. 37. Ubranie dla małej dziewczynki.

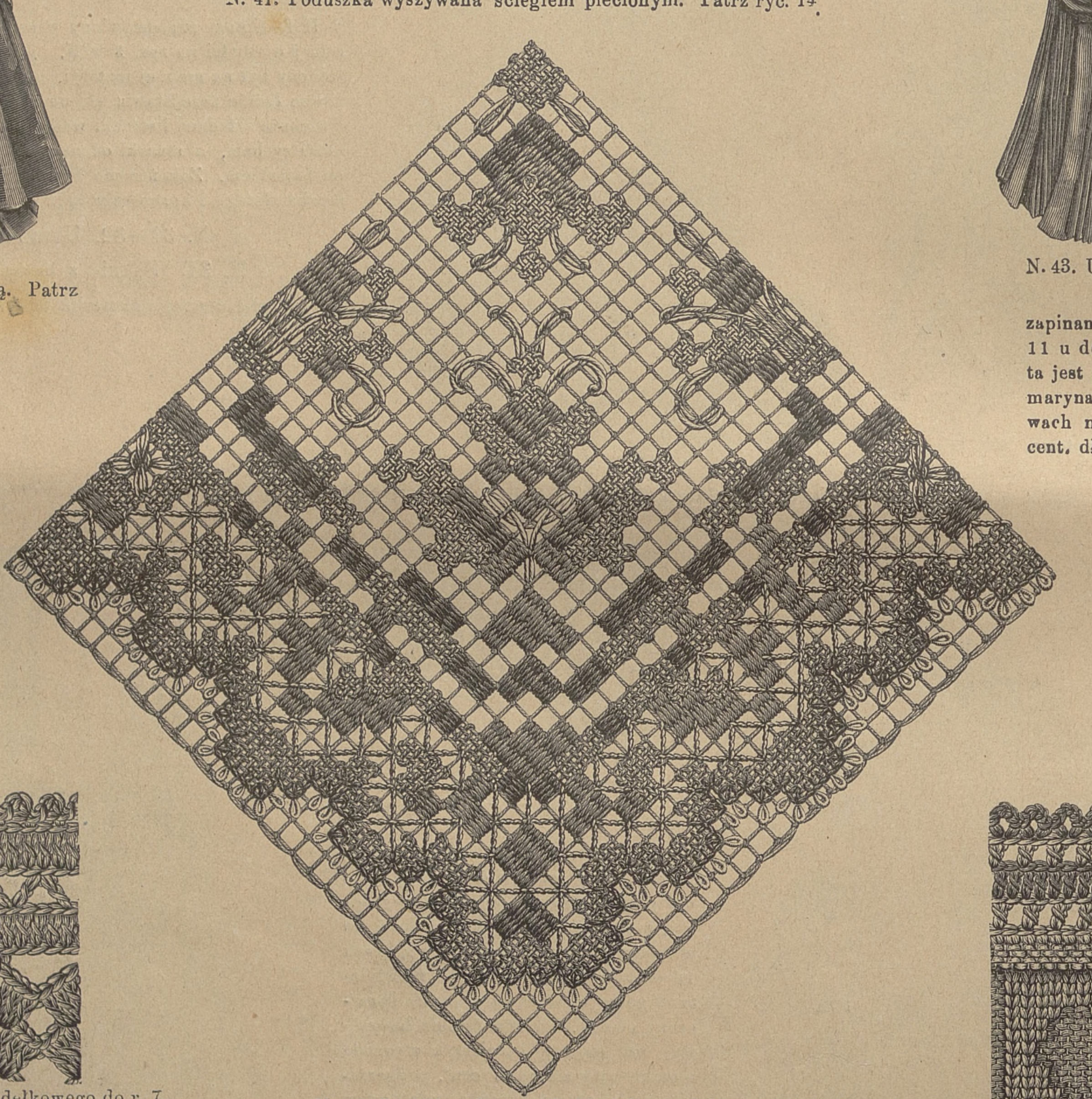
Ciemno-ponsowy trykotowy staniczek włożony przy spódniczce z materyału wełnianego w szkocką kratę, układanej w płaskie fałdy. Stanik zapinany z tyłu, zakończa kokarda z wstążki.



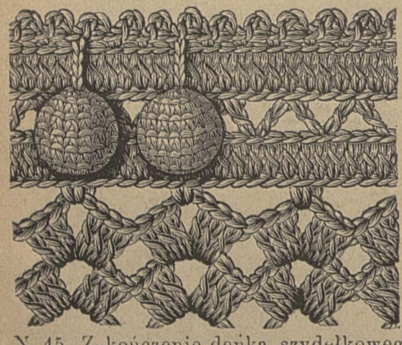
N. 40. Robota wiązana do ryc. 11.



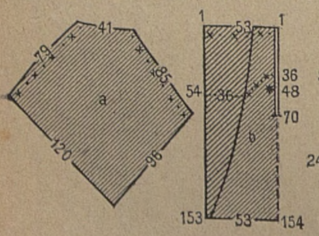
N. 41. Poduszka wyszywana ściegiem plecionym. Patrz ryc. 14.



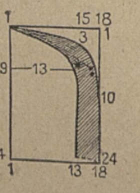
N. 44. Część kwadratu z siatki gipiurowej do ryc. 25 w N-rze 3.



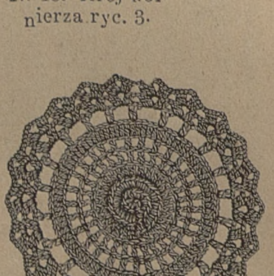
N. 45. Zakończenie denka szydełkowego do r. 7.



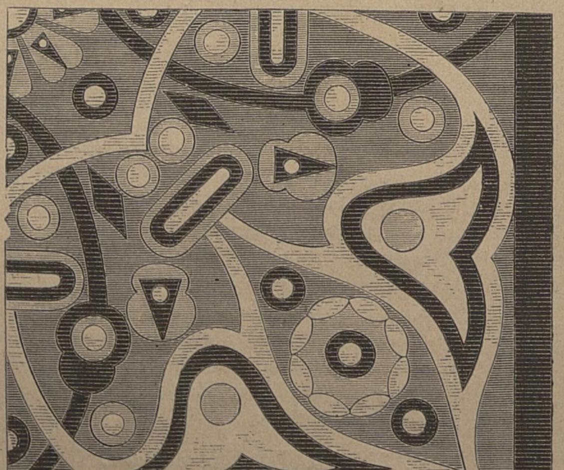
N. 47. Wymiar draperyi do ryc. 42.



N. 48. Krój kołnierza ryc. 3.



N. 46. Denko szydełkowe do ryc. 7. Patrz ryc. 45.



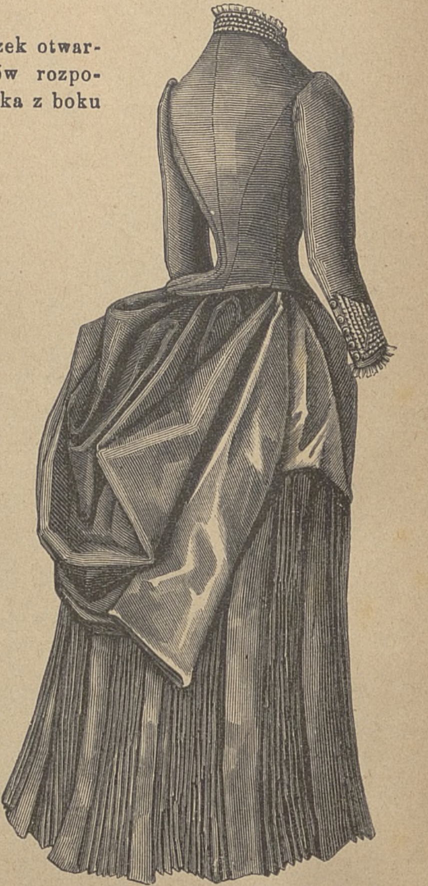
N. 50. Malowanie na porcelanie do ryc. 27.

N. 38. Fartuszek dla małej dziewczynki.

Uszyty z szarego płótna liczy 57 cent. długości, a 60 cent. środkowej szerokości. Przy napierśniku przyszyte są ramiączka po 5 cent. szerokie, 38 cent. długie które krzyżują się na plecach i przypinają z boku fartuszka. Kieszonki zaokrąglone u dołu 13 cent. szerokie, 10 cent. długie, wyszyte również jak fartuszek ściegiem łańcuszkowym bawełną ponsową i granatową.

N. 39. Ubranie dla chłopczyka lat 3—5.

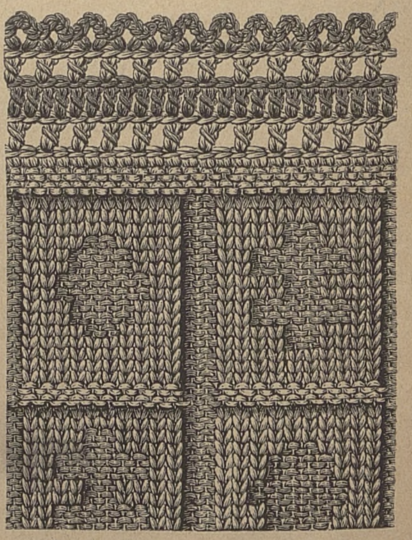
Długi puszczony kaftaniczek otwarty z przodu, ma u dołu pleców rozporek 10 cent. długi, kamizelka z boku zapinana liczy 45 cent. długości u góry 11 u dołu 25 cent. szerokości i naszyta jest pletnią 3 c. szeroką. Kołnierz marynarski i proste wykłady na rękawach naszyte pletnią. Spódniczka 25 cent. długa, ułożona w fałdy, przyszywa się do staniczka z żagnotu, zapinanego z tyłu.



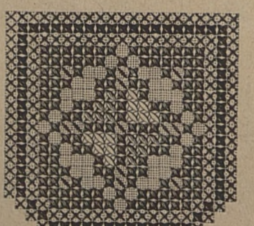
N. 43. Ubranie domowe. Patrz ryc. 33.

N. 41 i 14. Poduszka wyszywana jedwabiem. Patrz ryc. 8—9 w N. 3.

Liczy 63 c. długości a 42 szerokości i odrobiona jest na grubem płótnie ściegiem plecionym jedwabiem bordeaux; rycina 14 daje w naturalnej wielkości część szlaczka i rzucik na tle. Ten rodzaj ściegu opisywaliśmy szczegółowo w Tygodniku Mód z r. 1881. Haft obrabia się w dwóch częściach obrąbionych i odzierganych rzadko z brzegów, które następnie łączą się z sobą kratką, wskazaną w powiększeniu na ryc. 8 i 9 w N. 3 i stanowią poszewkę do wciągania na poduszkę, wiązaną jedwabnemi sznurami, podług ryc. 41. Na rogach dane kokardy ze sznura.



N. 49. Robota na drutach do ryc. 16.



pierwszy, drugi, trzeci cień ponsowy.

pierwszy. drugi, ziel.-żółty, niebieski.

N. 51. Desenik do ryc. 10, w N-rze 3.



Pl. 598.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.